



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał 5 marek

POGA WĘDKA.

„Pamiętaj, że proch jesteś i w proch się obrócisz...”

Marność nad marnościami i wszystko marność; najhuczniejszy karnawał także jest marnością i także w proch się obraca.

A cóż dopiero, jeżeli ten karnawał nie był nawet tak huczny, jak inne; co prawda, pod koniec rozhulał się, rozszalał, nabrał fantazyi i ognia, ale reputacyi swojej nie poprawił; humoru wielkiego nie miał, pozenił par niewiele, trochę tylko finałem zaimponował.

Pokazuje się, że, jak wszystko na świecie, i karnawał ma swoje *minimum* i *maximum*; skoro trwa dłużej, niż cztery do pięciu tygodni, zaczyna się ospale, wlecze nudnie, a dopiero gdy już ku ostatkom zdąża, budzi się i ożywia, zaoszczędziwszy sił i grosza.

Najwięcej popularności wyrobiły sobie tych zapust „panieńskie bale,” najwięcej szyku, jak zawsze roztoczył „szpitalikowy,” a najwięcej ciekawości wzbudził „bal kostyumowy” na korzyść pierwszej szwalni.

Oryginalnym wyjątkiem był podobno, jeśli nie w głowie reporterów, to prywatnie przy placu Św. Alexandra urządzony bal higieniczny.

Wszystko tam miało związek z higieną, zaczęwszy od wodzireja w tańcu, którym był jeden z lekarzy, a skończywszy na ciepłej orszadzie i herbacie, roznoszonej, zamiast chłodników, w czasie zabawy.

Wieczór rozpoczął się o godzinie 7-ej (słyszane to rzeczy!) a zakończył o północy; paniom i panom wolno było tańczyć tylko po trzech-minutowych przestankach między tańcami.

Tancerki wyrzekły się tym razem wyjątkowo gorsetów—dla zasady, czy dla experymentu.

Nie byłem na tym balu, ani nie widziałem nikogo z jego uczestników; mam jednak to przekonanie, że gdyby zaprowadzono stały regulamin tego rodzaju na wszystkich publicznych i prywatnych zabawach w Warszawie, większość wolałaby bywać na stypach po nieboszczykach, a niżeli na balach higienicznych z gwarancją bezpieczeństwa sił i zdrowia.

A jednak, nieprzesadzając zanadto w tym kierunku, należałoby, zwłaszcza dla płci słabszej zaprowadzić pewne reformy i przekonać nasze żony i córki, że ziemski anioł nie musi być w talii cieńszym od osy, ażebynas zachwyił, że kilka zgniecionych falbanek, pod ciepłym okryciem przy wyjeździe z domu na bal, może okupić, długie i uciążliwe choroby, jakich się nieogłędne strojnisię dla dobra swej toalety nabawiają; że szalone młynkowanie, aż do zawrotu głowy, w walcach i galopadach nie jest obowiązkowym dowodem powodzenia na sali balowej.

Trudna to wszelako konkurencja rozumu z nalogami i zwyczajami, które przechodzą dziedzicznie z pokolenia na pokolenie. Nie trzeba jednak tracić nadziei, że z czasem, jakiś szczęśliwszy zwrot zaprowadzi w królestwie szyku i mody nowe reformy, na które dzisiaj piękne usteczka odpowiadają uśmiechem politowania lub ironii.

Były czasy, kiedy wierzono, że bez wysokich obcasów nie można wejść, nietylko na salon, ale nawet do królestwa niebieskiego, i wykręcano sobie nogi, z prawdziwie chińską kokieterią; dzisiaj, większość Warszawianek obywa się jakoś bez szcudła pod piętą, i płaską nogą na bruku i posadzce stąpa z tąsamą gracją, a z większą swobodą, niż dawniej.

Wszystko jest dziś możliwe na tym najmożliwszym ze światów, więc może i najważniejsze względy zdrowotne nauczą nas rozumnej praktyczności.

W tym kierunku powstają coraz liczniejsze projekty, dobro jednostek i ogółu mające na celu.

Oto, naprzykład, dr. Józef Tchórznicki, lekarz szpitala w Sterdyni, wystąpił w *Zdrowiu* z obszerniejszym artykułem o handlu starzyzną. Tandetą, jak śmietnik, jak bagno, bywa rozsądkiem niewidzialnych żywołów, które, zaczajone, dybią na zdrowie i życie ludzkie.

Spuścizny po nieboszczykach, pościel chorych, stary zużyty ubiór, bielizna lub meble, przenoszą najczęściej zarazki szkodliwe z miejsca na miejsce, z jednego ciała na drugie.

Doktor T. zajmuje się szczegółowo tą kontrabandą wszelakich mikrobow za pośrednictwem tandety i dochodzi do wniosków, że złemu trzeba drogę zagrozić, a zatem starzyznę radzi dezynficycować przed pusczeniem jej w dalszy obieg po świecie; w tym celu domaga się urządzenia kamery dezynfekcyjnej, na koszt miasta, w którejby oczyszczać można było bezpłatnie, ale obowiązkowo, stare graty i stare lachy, zaś dla kontroli obowiązujących przepisów chce mieć, całkiem słusznie, osobną policję sanitarną.

Poważny głos nauki powinien być wysłuchanym i brany zawsze w rachubę, ilekroć chodzi o dobro publiczne; nie wątpię też, że projekt dr. Tchórznickiego znalazłby u władz miejskich poparcie i urzeczywistnienie, gdyby tylko o dobrą wolę chodziło; ale kiedy sprawa potraça o środki, wówczas postać rzeczy się zmienia i wiele najlepszych celów musi pozostać na uboczu z tej prostej racyi, że: „tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.”

Zanim doczekamy się kamery dezynfekcyjnej dla starzyzny, dobre i to, że może w niedługim czasie miasto zyska wozy ambulansowe do przewożenia chorych i rannych; dotąd dorożki nasze służyć musiały do lokomocyi, zarówno zdrowym, jak chorym, chociażby i konającym.

Człowiek nigdy dobrze nie może wiedzieć,

po kim właściwie zajmuje w dorożce miejsce i co mu jego poprzednik wieszony do szpitala zostawił. Czasem tylko plamy krwi na poduszkach, a czasem zarodki tyfusu, lub innej jakiej zaraźliwej choroby.

A zatem znowu krok naprzód ku polepszeniu.

Bardzo pocziwie, w interesie ubogiej klasy ludności, odezwała się „Medycyna”, i to nie poraz pierwszy; chodzi jej o ustanowienie w mieście, tak zwanych lekarzy dla ubogich, na stałym etacie miejskim.

„Nie potrzebujemy dowodzić, pisze wspomniany organ, jak wielkiem byłoby to dobrodziejstwem, dla naszej ubogiej, pracującej za zarobek dzienny ludności. Na Warszawę wystarczyłoby na początek czterech lub pięciu takich lekarzy, a pensye ich, wyznaczyć-by należało, za przykładem Petersburga, na rs. 1.200 rocznie.”

Autor artykułu, w którym wolno nam domyślać się zawsze dbałego o dobro publiczne dr Fritsche-go, oblicza, iż utrzymanie roczne skwerów i ogrodów w Warszawie prawie tyle kosztuje, ile taka lekarska opieka dla biednych.

Nie idzie zatem, aby poznać skwery i ogrody, które są dla nas ozami świeżego powietrza; jednak tyle, ile się wydaje dla ozdoby miasta, powinny się znaleźć również dla pożytku najważniejszego mieszkańców z klasy ubogiej, a ciężko pracującej.

Nasz robotnik i większość naszych rzemieślników, zajętych w cudzych warsztatach, pracujących tylko za dzienną opłatą, żyje z ręki do ust, zarobkiem z dnia na dzień; przy małym rozwinięciu oszczędności, przy nieszczególnych zarobkach, trudno u nich o jakitaki zapas gotówki na czarną godzinę, która ich zastaje najczęściej bez środków, niezaradnych i zrozpaczonych.

Już dość nieszczęścia, gdy pod dach biedaka choroba zajrzy; a cóż dopiero, gdy za nią w ślad śpieszy, jej zwykła towarzyszą w tej sferze, nędza...

Do szpitala nie tak łatwo się dostać przy wszystkich formalnościach, kosztą leczenia stanowią rubrykę poważną, która ciężko później dotkliwie na zarobku rekonwalescenta. Jakież dobrodziejstwem byłaby ta pomoc lekarska w domu, gdyby nadto połączona z nią być mogła, także i pewna pomoc na aptekę, jak się to praktuje we wszystkich prawie większych miastach europejskich.

Nie wiem, co się stało z projektem założenia w Warszawie towarzystwa opieki nad chorymi w domu, ale nie od rzeczy byłoby w tym czasie wrócić do pięknej i humanitarnej myśli, związania takiego grona świeckich „Braci miłosierdzia”, czy „Samarytanów” XIX wieku.

Przeszłego czwartku mieliśmy znowu katastrofę, podobną jak w fabryce „Wulkan”. W zakładach fabrycznych pp. Lilpopa i Rana, na rogu ulic Książęcej i Smolnej, przed godziną 6-tą rano wyleciał w powietrze kocioł, w budynku pomiędzy modelarnią i stolarnią; 300 łokci żelaznego dachu i mury od dziedzińca rozerwane zostały na szczątki.

Okolo 4.000 szyb pękło przy tej eksplozyi w samej fabryce i w okolicznych budynkach. Dwóch ludzi postradało życie, a kilku robotników odniosło, szczęściem, tylko lżejsze skaleczenia.

Drugi wypadek tak straszny w przeciągu kilku miesięcy!...

I znowu niewiedzieć kto winien.

Katastrofa zabrała dwa ludzkie żywoty, wyrządziła szkody przedsiębiorstwu na jakie 50.000 rs. Czy nie należałoby szukać przyczyny, w powierzeniu opieki nad kotłami robotnikom nieinteligentnym, nieobeznanym z mechaniką, spełniającym swoje funkcje naslepo?

Zapewne, iż przy systemacie oszczędnościowym, który dziś, nietylko na kolei nadwiślańskiej panuje, ale i w całym przemyśle fabrycznym zaprowadzony został, odgrywać musi pewną rolę wynagrodzenie takiego dozorca kotła; ale wobec odpowiedzialności cięższej na nim wobec ewentualnego niebezpieczeństwa, kwestya pieniężna nie znaczyć nie może.

Dwunastu palaczy i maszynistów nie kosztuje tyle, ile wynosi później strata, spowodowana niedbalstwem lub małą znajomością powierzonych obowiązków.

W ostatnich czasach na dwie strony kokietowano nasz przemysł fabryczny i rękodzielniczy: na zachód, ku Paryżowi, na wschód, ku Persyi. Tu i tam otwiera się dla nas pole popisu: w Paryżu na wystawie powszechnej, w Teheranie na wystawie przemysłu.

Zapewne, że większym zaszczytem nęci konkurencya z Europą, na tym ogromnym międzynarodowym turnieju, ale praktyczniejsze względy i łatwiejsze zyski przedstawiają się w wynalezieniu nowych rynków zbytu i nowych stosunków handlowych ze Wschodem.

W Paryżu mogą pochwalić nasze wyroby i produkty, ale ich kupować nie będą; w Teheranie dziwić się będą,—i rozkupią.

Wobec tych dwóch ewentualności trudno się wahać w rozwiązaniu kwestyi, na którą wystawę lepiej ryzykować wysyłkę okazów, tembardziej, że Persya nie wymaga od nas rzeczy nadzwyczajnych i chce poprzestać na przedmiotach codziennego użycia.

Spostrzegam, że wybrałem same postne temata do dzisiejszej pogawędki, która z konieczności musi mieć po Popielcu dużo szarej barwy.

Prawdę powiedziawszy, dla kronikarza, notującego ważniejsze przejawy życia Warszawy w pierwszej połowie każdego roku, istnieją właściwie po sobie trzy karnawały: jeden zwyczajny, taneczny i wesoły, drugi — poważny, bardziej urozmaicony rozrywkami dla umysłu, pełen artystycznych wrażeń, rautów, koncertów, odczytów i t. p. przyjemności—a trzeci tak zwany karnawał letni, ze zjazdem naszych braci, wystawą inwentarza i wyścigami.

Rzec można tedy śmiało, iż od Stycznia do Lipca—karnawałujemy nieustannie.

Post tegoroczny, ma już obfity programat przygotowanych „umartwień”; cała falanga osobliwości, począwszy od kabalarki, przepowiadającej z „kart brandeburskich” dla większej dokładności na piśmie przyszłość zakrytą, aż do czarnej primadonny z Kuby, która wraz ze swym bratem murzynem zatrzeć pragnie wrazenia Miss Nikity, zamorskiej znakomitości, na estradzie koncertowej.

Prawdziwy cyrk japoński, prawdziwa kapela włoska z Neapolu, nauczycielka boxowania wprost z Ameryki, etc., etc. wybierają się do nas w czasie Wielkiego Postu.

A panna Russel zawsze jeszcze śpiewa w trzecim tuzinie swoich występów, po którym, kto wie, czy nie nastąpią—nowe trzy tuziny.

Wybiera się też do Warszawy cały zastęp prelegentów, zaproszonych przez p. profesora Miklaszewskiego, aby żywe słowo zamienić na grose, których tak potrzebuje obecnie skarbona Towarzystwa Osad Rolnych.

Wybiera się także cała wyprawa niemieckich kapitalistów, z nad Menu, Odry i Sprewy, do Królestwa i Cesarstwa, z zamiarem wytworzenia nowych gałęzi przemysłu u nas i w Rosyi i nowych pól dla spekulacji niemieckiej marki.

W projekcie tych Nababów germańskich leży zakładanie fabryk: kapeluszy filcowych i słomkowych, galanteryi stalowej, nici, sznurów, zabawek i t. d.

Nowa wyprawa *kulturträgerów* rozporządza podobno milionami.

Inne przedsiębiorstwo, także niemieckie, chce nam pokazać, jak się buduje tanio, i na najwygodniejszych warunkach dla właścicieli przykanałki w posesyach, których żadnym sposobem nie umieliśmy dotąd sami skanalizować.

Jestem pewny, że się niemiaszkom powiedzie i że: *der deutsche Herr Gott*, zrobi cuda, których myśmy zrobić nie chcieli, czy nie umieli.

A potem będziemy się gniewali na „szwabów“...

Quis.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA

(Dalszy ciąg).

— Czyż już nikogo w całej Galicyi znaleźć nie można dla Julci, jak tylko radykała? Czyż on tylko jeden?

— Nie, pani marszałkowo, nie on jeden, lecz w tym czasie, w tych warunkach i otoczeniu może jedyny. Rzuciłem tylko projekt. Nie wiemy: czy się pannie Julii podoba, lub panna Julia jemu? Proszę tylko o pozwolenie przywiezienia go, gdy się zdarzy sposobność.

— Pan wiesz, że dla sąsiadów dom nasz zawsze otwarty.

— Nie wiedziałem, że i dla radykałów — odparł Tadeusz, siląc się na wesołość.

— Musiałeś pan mieć ostrą przeprawę z panem Adamem? — zapytała, chcąc odwrócić przedmiot rozmowy.

Tadeusz zarumienił się mimowolnie.

— Tego rodzaju sprawy — odparł — mają zwykle zakończenia burzliwe.

— Przyznam się panu, że miałam nadzieję; tem więcej mnie boli zawód. Zapewne pan zrobiłeś wszystko...

— W takich wypadkach niewiele jest do zrobienia: „Jeżeli chcesz bywać dalej, oświadczyć się i ożeń.”

— Może przysłane kaczkę są zapowiedzią przyjazdu. Zaczekajmy. My kobiety lubimy się łączyć.

— Można poczekać dla przyjemności przedłużania złudzeń.

— Po ostatniej rozmowie z panem Adamem, utrzymujesz pan, że wszystko skończone? — spytała raz jeszcze — i, nie czekając na odpowiedź, odeszła.

Tadeusz nie śmiał jej zatrzymywać i pocieszać, nie śmiał się pytać o Julcię; przygnębiony i roz-targniony, powstał, aby wyjść, gdy we drzwiach ukazał się marszałek. Oczy mu się świeciły, twarz miał rozpromienioną.

— Rzucają nam rękawicę: podnieśmy ją! Ja nie wchodziłem w przymierza z radykałami, aby ich pobić. I teraz nie będę u radykałów żebrał pomocy. Jeżeli pan chcesz koniecznie przywieźć do mego domu Radwana, nie zamykam nikomu drzwi, lecz proszę—po wyborach. Mam jeszcze jedną do pozyskania plenipotencyą i jeden głos do skaptowania w mieście. Jedźmy! I ten Adam zdradził bez najmniejszego skrupu!

— Nie jest to człowiek skrupułów. Nie słyszał o nich, nie mówiono mu; a jeżeli kiedy czytał, śmiał się z exaltacyi autora.

Wojciech zajechał kasztanami, marszałek zabrał papiery i listy—pojechali.

Przez drogę milczeli obydwoj. Marszałek racho-wał głosy i plany układał. Z ust jego wylaty-wały urwane i niedokończone zdania. Tadeusz nie zwracał na nie uwagi, zatopiony w myślach.

— Zrobiłem wszystko — powtarzał w duchu, aby się wytłómaczyć przed własnym sumieniem— wszystko, co mogłem. Lecz spaść z milionera na szlachcica o jednej wiosce, ze Stańczyka o arystokratycznych stosunkach na radykała, to ciężko, to zaciężko dla zwykłych szlachekich śmiertelników, posiadających jedynaczkę, a przed dzie-sięciu laty ładny majątek. Nadzwyczajności wymagać niepodobna od uczciwych ludzi, nauczonych od młodości patrzeć na świat i sądzić go podług odziedziczonych pojęć, w których wychowali się, wzrosli i żyli się z niemi. Nie wymagajmy nie-podobieństw, a bądźmy sprawiedliwymi dla innych o tyle, o ile jesteśmy łaskawi dla siebie samych.

Mimo, że się pocieszał, jak mógł i umiał, podrażniona rozstrojenemi nerwami wyobraźnia i exaltowane pojęcie uczciwości wytwarzały w je-

go umyśle, coraz nowe wątpliwości, raniąc nieustannie sumienie.

— Czemuż go — myślał o Radwanie — nie zawiozłem do Rębowa przed pół rokiem, zanim poznali Adama i nauczyli się na niego liczyć? Czemuż?... — Każde to *czemuż* wstrząsało nim, drażniło go i gniewało. Sam teraz nie wiedział: czy dlatego, że zazdrościł, czy dlatego, że przeczuwał niechęć obu stron?

W miasteczku marszałek pojechał na telegraf i na pocztę, potem zajął się kaptowaniem wątpliwego głosu; Tadeusz wrócił do kancelaryi. Nikogo z urzędników i stron nie było. Odetchnął, czuł, że potrzebuje wytchnienia. Mimo to chodził po pokoju wielkimi krokami. Ruch kołysał jego myśli. Romantyk snuł optymistyczne marzenia i łagodził niemi rozstrojone nerwy.

— Gryzio żydów nie skaptuje — mówił do siebie. — Pójdą, jak jeden za Radwanem. Pomiatali nimi, gdy ich nie potrzebowali. Zresztą mają oni węż i rozum i wolą iść ręką w rękę z milionerem i radykałem, niż z podbankrutowanym szlachcicem. Idzie tylko o trzy głosy. Marszałek jest sprytny i niezmordowany, i tam, gdzie chodzi o niego, agitować umie. Jeżeli od tego zależy los i przyszłość tych uczciwych ludzi, marszałek musi zwyciężyć — musi, musi!... Nie śmiał wymówić imienia Julii. Był pewny, że idealne uczucie, jakie ma dla pięknej dziewczyny, okrywa go śmiesznością, a śmieszności bał się więcej, niż wszystkiego innego. Zdawało mu się, że wszyscy wiedzą o wadzie czy słabości jego serca i śmieją się z niego. Gniewało go to i wstydziło. Był zły na siebie, że się zdradził, i na ludzi, że go podparzyli.

— Musi zwyciężyć — zawołał z mocą. — Zostanie dyrektorem; przeniosą się do Krakowa. Ludziska przestaną mówić i zapomną. Czy Julia wie o jego miłości? — pytanie to nieustannie wydobywało się z głębi jego serca i mózgu, cisnąc się na usta, lecz je dusił, gnębił, odpychał, nie chcąc na nie odpowiadać, nie chcąc o tem myśleć.

Po skończonych czynnościach najął konie i pojechał do Grabin.

Dobrze było po północy, gdy Adam wrócił do domu; w pokoju jego ojca jeszcze się świeciło. Żelaznej wytrwałości ten człowiek dnie poświęcał na gospodarstwo i zarząd swych majątków, część nocy na korespondencje i sprawy publiczne.

Portyera zaszeleściła — wszedł Adam. Pan Jan rzucił pióro, zerwał się szybko, podbiegł do syna.

— I cóż? — zapytał.

— Radwan kandyduje i ręczy za piętnaście głosów.

— Zwycięstwo! — wołał ojciec — przeczuwałem je... Patrz! licząc na nie, ośm gotowych listów.

— Sekretarz wypędził mnie od siebie, Rębowski zamknął mi dom, wszystko skończone.

Ojciec wyciągnął do niego rękę.

— Adasiu, przebac, miałem cię za niedołęgę; a tymczasem przewyższyłeś moje oczekiwania.

— Większa w tem zasługa logiki faktów, aniżeli moja — odpowiedział spokojnie Adam. — Z tego jednak, co się stało, przewiduję w przyszłości dla nas obu nieszczęście. Może się wyrażam tragicznie, mówiąc: nieszczęście, lecz je przeczuwam. I gdybyś ojciec dziś mnie zawiózł do Rębowa i oświadczył, uniknęlibyśmy go. — Pochylił się, pocałował ojca w ramię i wyszedł. W progu zatrzymał się i odwrócił, dodając:

— Proszę ojca zastanowić się nad tem. W małym rzeczy na świecie wierzę, może w nic, lecz wierzę w przeczucia. — Zniknął za kotarą.

— Chłopak formalnie się zakochał — szepnął pan Jan, bojąc się, aby Adam nie słyszał. — Nie przypuszczałem, aby i w nim pokutowała romantyczna dusza Don - Kichota. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek odziedziczony po ojcu. — Zatarł ręce z radości. Obeszło się bez zakłęb, awantur, intryg, wywozeń... Romantyczne przeczucia nieszczęść, spalonych zamków, czerwonej krwi, bawią mnie. Wyciągając z tego wszystkiego wnioski, trzeba go prędko ożenić, a jaknajprędzej wy-

prawić do Lwowa. — Sprawił się szybko, zrecznie i dobrze. „Będą z niego ludzie.” — Wrócił do biurka, usiadł, pochwycił pióro i z gorączkowym pośpiechem pisał dalej.

— Porozumiałeś się z Adamem, łączysz się ze Stańczykami: opinia powie, żeś przeszedł do ich obozu...

— Jaka opinia! — przerwał Tadeuszowi Karol — co za opinia, czy tu jest opinia? A gdyby się znalazła, cóż mnie ona wobec celu obchodzi? Łączę się ze Stańczykami dla oczyszczenia atmosfery, dla przywrócenia normalnego stanu, dla zdrowia powiatu.

— Nie wiem, czy to będzie zdrowiem, gdy twe mi rękami Stańczyki przewrócą uczciwego człowieka, a potem po twoim karku przyjdą do władzy.

— Będzie, bo wtedy do walki staną dwa obozy. Stosunki się unormują, gdy dziś — można mówić o jakiegokolwiek pracy wobec powagi, popularności, obywatelskich zasług, i „kochajmy się”. Sam mi pisałeś o letargicznym śnie powiatu i sądzę, słów tych nie cofniesz. Należy się zbudzić, choćby burzą i piorunami.

— Poco burzy i piorunów? — zaczął łagodnie Tadeusz — gdy przebudzenie nastąpiłoby samo z siebie. Miałem, amoże i mam, inne plany i projekta, prowadzące skuteczniej i prościej do celu.

— Dlaczegoż się z niemi dotąd krył?... — pochwycił Karol, wpatrując się uważnie w Tadeusza.

— Owoce nie dojrzały, aby je zrywać było można.

— A dziś już gotowe do zerwania?

Tadeusz skinął na potwierdzenie głową i mówił dalej:

— Marszałek, czy-to przez zbyt dużą usłużność dla ludzi, lub gonitwę za popularnością, przez próżność czy przez forsowne gospodarstwo, podrujnował fortunę.

— Słyszałem — poświadczył Karol.

— Radby zostać jednym z dyrektorów w ubezpieczeniach...

— Synekura...

— Mniejsza o nazwę, dość, że i bez walki i burz usuwa się z powiatu. Miejsce po nim ty możesz zająć.

— Z poselstwa nie ustąpi, marszałkiem mnie nie zrobią.

— Kto wie? będzie to zależec od ciebie.

— Odemnie? — historia zaczyna być ciekawą.

— Jak każda bajka, której początek powtarza się od wieków. Był sobie król i miał ślicznej urody córkę...

— Domyślałem się zakończenia — przerwał Karol — obiecujesz mi w nagrodę za posłuszeństwo rękę królowej.

— Niema mowy ani o nagrodzie, ani o posłuszeństwie. Dlaczegożbyś nie miał jechać zemną po wyborach do Rębowa?... A nuż ci się spodoba panna Julia? Rodzice osiadą w Krakowie, ty możesz sprzedać Grabiny, kupić Rębów — i...

— Ożenić się — dokończył Karol. — Czy to jest twój wyłączny projekt?

— Mój jedyny, najwyłączniejszy — zawołał Tadeusz, podnosząc rękę do góry na znak przysięgi.

— Zapóźno — rzekł poważnie Karol. — Spuścizny po Stańczykach nie biorę.

— Jakiej spuścizny? — spytał cicho Tadeusz, blade, tłumiąc gniew i oburzenie.

— W Rębowie bywał Adam, w całej okolicy mówiono, że się stara o pannę Rębowską. Tyś go woził, rodzice go przyjmowali, a więc i panna była mu rada. Stańczyk zdradził, a spuściznę po nim radykałowi oddajesz. Tadeuszu, czy to ja mam się żenić z panną, która poszłaby za mnie, tylko dlatego, że jej Stańczyk nie chciał?

— Ani Adam się nie starał, ani panna Julia nie pragnęła, aby się o nią oświadczał. Jest to młoda osoba szlachetna, dobra, ładna, a przede wszystkim rozumna. Rozumnych kobiet u nas mało i dlatego nie waham się...

— Zapóźno — przerwał powtórnie Karol. — Pięć lat mieszkam w Grabinach, pięć lat jestem

systematycznie usuwany od wszystkiego przez Rębowskiego — i dziś, gdy zwyciężowo moje, chociaż w małej części, jest zapewnione, ty, drogi Tadeuszu, niespodzianie występujesz w roli swata.

— A zatem nie cofasz się? — spytał sucho Tadeusz. — Chcesz koniecznie ruiny uczciwego człowieka i godzisz się na odegranie roli narzędzia w rękach Stańczyków?

— Synekur popierać nie myślę. A co mnie to obchodzi kto będzie za mną głosował?! Całe życie walczyłem przeciw powadze, popularności i szlachectwu „kochajmy się.”

— Całe życie, w każdym razie nienazbyt długo — zrobił uwagę Tadeusz.

— Mniejsza o czas. Dość, że ty usiłujesz wepchnąć mnie w to samo zaczarowane koło, do którego czuję wstręt.

— Nie ustąpisz nawet dla mej przyjaźni?

— Nie, nie mogę — odrzekł stanowczo Karol. — Na drugą taką sposobność może przyszłoby mi zbyt długo czekać.

— Bądź zdrow — rzekł Tadeusz, wyciągając do niego rękę. Uścisnęli się. — Proszę cię o jedną łaskę.

— Rozkazuj — zawołał Karol.

— Daj mi słowo, że nikomu nie wspomnisz o moich projektach.

— Słowo! Takich rzeczy się nie mówi.

— Znalazłem się bez taktu, palnąłem niedorzeczność na swoją rękę, a to wszystko z żalu za tą uczciwą rodziną, której jestem przyjacielem. Rozumiem, że wystąpiłem z propozycją zapóźno. I to mnie boli i gniewa.

— Nie rozpaczaj. Widywałem pannę Rębowską w miasteczku, w wagonie kolei, w teatrze...

— I cóż?

— Nie podobała mi się, nie zakochałbym się w niej i nie starał o nią nigdy.

— Przysięgasz?

— Zapewniam cię — odparł Karol poważnie. — Czy to jest wypadek tak niezwykły, że aż przysięgi wymaga? Czy w twojem przekonaniu wszyscy muszą lub powinni kochać się w pannie Rębowskiej?

— Ależ nie — tłumaczył się Tadeusz. — Jestem tylko nieco zdziwiony, gdyż panna Julia uchodzi za bardzo ładną i podobała się powszechnie. Przyznam ci się, że miałem pewne wyrzuty sumienia, dlaczego wcześniej nie zawiozłem cię do Rębowa.

— Nie miej ich: nie pojechałbym tam nigdy i nie pojadę. Obcy to dla mnie świat. Nie mam pojęcia, co bym tam robił, nie wiedziałbym, co mówić, jak patrzeć, jak się znaleźć. A spadać z księżycy do szlacheckiego dworu powagi, popularności i komunau, nie mam ochoty. Nie lubię się krepować, nie znoszę zaściankowej etykiety, mówię, co myślę. Szlachcianki przestraszyłbym i przeraził swoim rzekomym cynizmem.

— Mój drogi, przesadzasz — odparł Tadeusz — lecz się temu nie dziwię. Mało miałeś zetknięcia z tym światem, a młodość twoja i wyobraźnia każą ci mniemać, żeś odskoczył od niego o całe wieki.

Karol się uśmiechnął litościwie.

— Nie mierzę oddalenia na lata i łokcie.

— Szkoda, bo przekonałbyś się, że oddalenie nie jest tak wielkie, jak sądzisz.

— Dość, że jest. Zresztą nie chcę kroczyć ścieżkami papy Rębowskiego, i dlatego zetknięcia się z nim unikam. Boję się jego wpływu. — Powiedział to z odcieniem ironii, wpatrując się w towarzysza.

Tadeusz po raz drugi wyciągnął rękę: uścisnęli się, czuć było jednak w tym uścisku chłód.

— Nie zostaniesz na wieczery? — spytał się Karol, siłąc się na serdeczność.

— Dziękuję ci, nie zostanę, nie mogę: nie mam już sobie nic do powiedzenia, a jeść we dwóch w milczeniu, ciężko.

Poszedł do bryczki, zbudził śpiącego w niej chłopca i odjechał.

— I ci ludzie — szepnął Karol, patrząc za odjeżdżającym — porywali się na zrobienie wielkich dzieł, na odegranie ważnych ról! — Wzruszył ramionami. — Szlachciec mnie ignorował, prawie nie znał; jak tylko znalazł sposobność, dokuczał: a te-

raz, gdy z nim źle, gdy synekura, na którą polował, może wysunąć mu się z rąk, zaczyna zemną kokietować, ciągnąć, obiecywać w nagrodę córkę. I ten poczciwy Tadeusz dał się użyć do takiej roboty?! Co mnie może obchodzić synekura szlachcica, jego los, majątek, żona, córka, marszałkowskość, on sam? Im prędzej ustąpi, tem lepiej dla nas, dla powiatu, dla kraju... Kiedyż my się pozbędziemy sentymentalizmu wobec pruskiej bezwzględności i dzisiejszych hasel?

Smutny, zły, obrażony na siebie samego, lecz uspokojony, wracał Tadeusz do miasteczka.

— Znalazłem się niezręcznie, głupio, śmiesznie, wmawiał w siebie—lecz zrobiłem swoje i nie mam sobie nic do wyrzucenia... — Wydobywający się z głębi serca głos dokończył:—przedewszystkiem uciszyłem drażliwość sumienia i nerwów, o co mi właśnie chodziło. Ani jedna, ani druga strona nie chcą się nawet poznać. Jedna i druga uczciwa, kochająca kraj, a uprzedzenia i przesady odpychają je wzajemnie. I niema na to rady. Nie rozpaczaj jednak na ten temat. W miarę oddalania się od Grabin, stawał się swobodniejszym i weselszym. Cieszyła go ta myśl, że nie będzie już więcej wozził do Rębowa żadnego konkurenta. Odetchnął głęboko. Ciężar spadł mu z serca.

Pod murami miasteczka kazał skrócić do Rębowa. Nie chciał zostać sam w pustym mieszkaniu, ciekawy był dowiedzieć się o zabiegach marszałka i rad zobaczyć kobiety.

— Obejdzimy się bez łask radykałów i żydów—odezwał się wesoło marszałek, witając gościa na werendzie.—Brak mi tylko dwóch głosów, i te mam nadzieję zdobyć—i zdobędę je, żebym miał wszystkie sprężyny w powiecie poruszyć!—A nachylając się, dodał ciszej:—Mam w kancelaryi osobistość, która nie chce być widzianą. Proszę kochanego pana do salonu.—Otworzył drzwi, mrugnął tajemniczo i zniknął.

Salon był pusty. Światło zwabiło Tadeusza do jadalnego pokoju. Julcia nalewała herbatę. Zbliżył się zakłopotany, nie wiedział co ma mówić, dawna swoboda go opuściła, wyciągnął na przywitanie rękę,—drżała ze wzruszenia.

Dziewczyna była również nieco zakłopotana.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z Wiednia.

Jakież to wspaniałe uroczystości odbyły się w Wiedniu w ciągu lat kilkunastu! Na srebrne wesele cesarskiej pary urządził był Makart malowniczą processyą wszelkich zajęć ludzkich, która ledwo na pół mili długości należycie rozwinąć się mogła. Całe społeczeństwo brało w niej udział, całe społeczeństwo i wszystkie jego stulecia w historycznych kostiumach składały hołd srebrnym jubilatowi. Uwięził Makart ten pochód w kilkunastu wielkich kolorowych kartonach. Są one zarazem najlepszym zwierciadłem i pamiątką epoki barw, słońca, oszołomienia artystycznego i życiowego... epoki makartowskiej.

Potem, lat temu zaledwo siedm, cieszył się Wiedeń drugim wielkim pochodem: wjazdem obcej królowej, narzeczonej następcy tronu, w złocistej karecie Maryi Teresy, wśród muzyki, w otoczeniu wspaniałych gwardyi, białych i czerwonych, pieszych i konnych i w tygrysie skóry odzianych, z całym przepychem ceremoniału przyjętego według dawnej etykiety hiszpańskiej. I znowu całe społeczeństwo w godowych szatach brało udział w rodzinnej uroczystości dworu.

A ubiegłego roku przypadł jubileusz czterdziestoletniego panowania cesarza. Nie było festów, nie było parady, bo cesarz ich sobie nie życzył, bo prosił, żeby rocznicę dobrymi czynami upamiętnić. Więc na cele dobroczynne, miłosierne, naukowe, artystyczne złożono kilkadziesiąt milionów, założono kilkaset nowych instytucyi, dobrowolnie, z radością szczerą i powszechną. I możnaby rok ów nazwać rokiem cnoty, a zarazem tryumfu pra-

cy ludzkiej. Urządzono wielką wystawę w tym celu, żeby okazać postępy pracy, wynalazków, wzrostu stolicy w ciągu 40 lat.

I zapewne niejedyn zazdrościł wielkim tego świata, którzy szczęście mają na swoje usługi i naokoło szczęściem darzą.

Naraz, gdy od dnia rocznicy zaledwo kilka tygodni upłynęło, stała się rzecz straszna. W Styczniu, wśród rozpoczętych zaledwo uciech karnawałowych, prerażenie zdrętwiło serca i cała stolica pokryła się kirem. I znowu całe społeczeństwo towarzyszyło wielkiemu pochodowi karawanu, ozdobionego cesarską koroną, wiozącego na wieczny spoczynek zwłoki ulubieńca ludu, nadziei państwa, a jedynaka u ojca-jubilata, zwłoki następcy tronu, Rudolfa. I pomyślał sobie nie jeden, że lepiej już nie zazdrościł wielkim, bo oni takimisamymi są ludźmi, prochem, z tą różnicą, że w miarę wielkich radości, biją w nich także gromy większej niedoli, a mniej może są na nie wytrzymali i hartowni...

Pod takim wrażeniem przychodzi mi rozpocząć te szkice z Wiednia, które mają być dalszym ciągiem dawniejszych korespondencyi. Jest też rzeczą naturalną, że muszę je zacząć od dworu cesarskiego. W ostatnich latach pseudonym jakiś ogłaszał obrazy kilku dworów panujących, a były one przykrojone naksztalt pamfletu, były piepizne, nawet skandaliczne, plotkarskie. Za tym przykładem pójść ani chcę, ani mogę; nie zamierzam śledzić tajemnic, ani utrzymywać, że znam we wszystkich szczegółach życie dworu austriackiego. Ograniczę się na tem, co bodaj jest najważniejsze, i zajmę was tylko kilku obrazami, a mogę tu podać tylko rysy niektóre, ale znamienne, te, które rozstrzygają o wartości ludzi i zdaje mi się, że te właśnie są najwięcej godne poznania.

Cesarz Franciszek Józef objął tron jako młodzieniec 18-letni, wcale do tronu niewychowywany. Przeszedł on czasy ciężkie, klęski wojenne, utratę całych prowincyi, utratę rzymsko-niemieckiej korony, która przeszła w Niemczech na Hohenzollernów. A kiedy jego losy gnębiły, w sąsiedztwie jego państwa powstawały wielkie dziejowe ogromy—zjednoczone Włochy, zjednoczone Niemcy. A przecież po 40 latach rezultat pokazał się bardzo pomyślnym. Państwo, trzymane tylko przemocą, podupadłe pod względem dobrobytu, z ludnością wielce niezadowoloną, dzisiaj rozrosło się nawewnątrz, przeobraziło się zupełnie, konstytucyjność wzmocniła jego posady, rozwinęła jego siły; wytworzyła się prawdziwa miłość i zaufanie między poddanymi a dynastją; zamiast jednej małej stolicy, zamiast brudnego, średniowiecznego Wiednia, powstały stolice dwie, Wiedeń i Peszt, obie wspaniałe, a obok nich dzwigają się szybko stolice pojedynczych krajów koronnych. Temu przeobrażeniu wewnątrz, które dalej się dzieje, odpowiada zmiana położenia i nazewnictwa; nieprzyjaciele, którym przebaczone, stali się aliantami, a przebaczone im istotnie: dowodem tego, (o czem mało kto wie), że cesarz podarował Hohenzollernom koronę Karola Wielkiego, która zdołała przez wieki skarbiec Habsburgów. Otworzyły się też dla państwa nowe widoki na Wschodzie... Przeżyć takich lat 40 na tronie i takie zmiany i wytrwać, to można, zapewne, dojrzeć i osiągnąć pewną doskonałość. W rodzinie sprawnie cesarz łączy ręką silną, która, gdy trzeba, nie waha się karać; ojcem był i jest dobrym i kochanym przez dzieci swoje; toż miłość dla tego ojca bywa dla najmłodszej córki natchnieniem do prawdziwych, rzewnych poezyi. Cesarz jest najpilniejszym urzędnikiem państwa, jest najpierwszym swoim ministrem. O piątej rano już pracuje, o wszystkim wie, nie bez niego się nie dzieje, o niczem nie zapomina, nałożył całe otoczenie do wojskowej punktualności, którą sam celuje. Doświadczenia ciężkie spotęgowały tylko w tym dobrym człowieku prawość, rycerskość i tę pamięć serca, która jest wdzięczną za wszystko dobre raz doznane. Jest to dzisiaj patryarcha, a zarazem nowożytny, konstytucyjny monarcha, przytem szczerze religijny, wyrozumiały, cierpliw i wytrwały, bardzo wytrwały i zahartowany, jak to okazał właśnie wtedy, gdy go najśroźszy cios dotknął, jako ojca.

Wytrwałość tę i niezłomność zawdzięcza on obecnie—tak powiedział do prezesa izby, do Smolki—swojej małżonce, cesarzowej Elżbiecie. Prosił, żeby to wszędzie głoszone, że słowa tego nie wypowiedzą, ile jej zawdzięcza w tych czasach żaloby. Wystawił on cesarzowej temi słowami historyczny pomnik, jako żonie i kobiecie. I potrzeba było takiego świadectwa, bo należy wyznać, że ludność nie umiała sobie zdać sprawy, nie umiała sobie określić cesarzowej i liczne sądy o niej błąkały się po manowcach.

Przybyła ona na wielki dwór prawie dzieckiem, mając lat 16. Mówią, że nie wszyscy byli jej życzliwi, a ta świadomość i w niej wywołała pewne niechęci, mówią, że nie czuła się szczęśliwą, że etykieta ją gnioła, jak kajdanami. A trzeba sobie wyobrazić, jak trudnym jest stanowisko cesarzowej, np. jako matki, której nie wolno dzieci wychowywać, tak, jakby chciała, ani się nawet niemi zajmować, gdyż racye państwowe są w tej mierze nieubłagane. Pod wpływem wrażeń przykrych stało się, że cesarzowa stroniła od życia dworskiego, od ceremoniału, a równocześnie lekarze nakazywali jej życie na świeżem powietrzu i ćwiczenia fizyczne, zarówno dla fizycznego, jak moralnego i umysłowego zdrowia. Ztąd się wzięło, że cesarzowa, unikając dworu i stolicy, oddawała się przeważnie jeździe konnej, łowom odpowiednim, gimnastyce i podrójom dalekim, zamorskim, a zarazem stała się niezmordowaną turystką, wielbicielką gór, natury. Ta dumna, jak mówiono i nieprzystępna kobieta nie przestała też nigdy sama pracować nad sobą, uczyć się, miłować poezyi; toż w roku ubiegłym zaczęła uczyć się po nowogrecku, a gdziekolwiek przebywała, wszędzie tam błogosławi ją lud prosty. Piękność swą dotąd zachowała, dzięki właśnie zdrowemu, jedynie dla niej odpowiedniemu, życiu.

Nie można się dziwić ludności, zwłaszcza wiedeńskiej, która jest przyzwyczajoną, żeby rodzinę cesarską mieć dla siebie, między sobą, tak jak pałacu cesarskiego używa, jak domu przechodniego. Tymczasem cesarzową ledwie raz na rok lud ten oglądał: więc wytworzył się przesąd, że cesarzowa nie odwzajemnia się ludowi za jego miłość. Ciągłe podróże cesarzowej, którą nękały nieszczęścia jej rodziny bawarskiej—sprawiły to, że w pałacu cesarskim nie było przecież domu, nie było gospodyni, dawała się czuć jakaś próżnia. Zmieniło się to, gdy przybyła następczyni tronu, synowa, uroczą i wesołą, która też mogła przejąć na siebie wiele ciężarów etykiety, reprezentacyi, która mogła *dom* ożywić. Był to sen zaledwie—i minął; zamienił się w okropną rzeczywistość; nagle ustało życie w tym *domu*.

Nadzwyczajna to, niebываła katastrofa. Kiedyś zapewne zupełnie zostanie wyjaśnioną, dzisiaj tworzą się o niej codzień inne podania. Nie mogę przedstawić tej katastrofy w świetle wyczerpującej prawdy, ale jest już dostępną prawdą bodaj częściowa, wolna od domysłów,—i ta narazie wystarczyć musi. Z góry zatem oświadczam, że nieprawdą jest, jakoby zwykły romans był powodem śmierci arcyksięcia Rudolfa. Romans był, ale był tylko finałem całego dramatu, finałem niespodzianym, który sam przez się zgęzła byłby mógł katastrofy sprowadzić. Arcyksiążę Rudolf była to natura bujna, obdarzona wielu talentami; ale brakowało jej pewnej równowagi. Być może, że ta ujemna strona—to dziedzictwo bawarskiej krwi, a fizjologiczne zarody zbroceń i excentryczności wykryli lekarze w mózgu po śmierci. Prowadził on życie bardzo czynne, ruchliwe jako wykształcony officer, inspektor piechoty, jako badacz i znawca nauk społecznych, jako podróżnik, myśliwy, przyrodnik, (jako ornitolog, był wybitnym) jako płodny i znakomity pisarz, wreszcie jako wesoły towarzysz, dobry przyjaciel. Przypominam, że z dzieł jego zdawałem sprawę w *Bluszczu*, przyłączałem np. ustępy z podróży po Wschodzie, o Betleem i Jerozolimie. Jednak człowiek ten nie był szczęśliwym. Trudno zbadać, czy były do tego istotne powody, czy też były to wrażenia urojone natury niezwykłej, organizmu niezupełnie normalnego. Niezadowolnienie z życia bądźco bądź wyrobiło się w nim i pobudziło go do smutku wszelakiego i oszołomienia. Wynikły ztąd sceny i stosunki przykre, które popychały go coraz

głębiej w przepaść szalów. Usunął się od dworu, przebywał coraz więcej w otoczeniu nazbyt swobodnym, na czym zdrowie jego fizyczne i moralne cierpiało, władze umysłowe zaczęły słabnąć; Arcyksiążę pisał coraz mniej; musiała też już upadać energia woli i ochota do życia, a wyrabiał się usposobienie rozpaczliwe. Z tem swoim usposobieniem uciekał nieboszczyk do zamczku myśliwskiego i tam spadł na niego niespodzianie cios.

Znacie aż do uprzykrzenia historią baronówny Vecsery po otruciu się jej w d. 29 Stycznia. Mieszkańcy i goście zamczku stracili zupełnie głowę. Co się tam działo na miejscu, oraz pomiędzy Meyerling a Wiedniem od tego popołudnia, przez całą noc na środę — niewiadomo. Zdaje się jednak, że usiłowano przeszkodzić samobójstwu dziewczyny; że rozbitą flaszeczką arcyksiążę skaleczył sobie rękę; że poprzednio zamiaru samobójstwa nie miał, albo *jeszcze* nie miał; że przez całą noc bił się z myślami, rozpisывał listy; że poprzednie cierpienia, a nadto wrażenia ostatniej nocy po samobójstwie dziewczyny, zupełnie niespodziewane dla niego, opłatały jego umysł; że mu się zdawało, iż nie ma dla niego wyjścia z wielu przepaści życia, — słowem: że wpadł w stan obłąkania, niepojętym i w tym stanie uchwycił za narzędzie samobójcze o g. 6½ rano w Środę. Fiziologiczne dane, które krok ten tłómaczą, wykryli lekarze profesorowie i zeznali pod przysięgą w dokumencie, a powtórzyli z katedry przed uczniami. Psychologicznego procesu zaledwie domyślać się można, ponieważ poprzednie akta dramatu nie są nam znane. Śmierć Vecsery mogła być jedynie tylko momentem, który przyczynił się do dojrzewania wszystkiego, co już przedtem w umyśle i nerwach arcyksięcia grało i rozegrało się w ten smutny finał.

Oto jest przedstawienie rzeczy — jeżeli nie zupełnie prawdziwe, to jedynie prawdopodobne; braknie w niem wielu szczegółów, ale te, które są, — są prawdziwe, inne zaś opowiadania nie zgadzają się z prawdą.

Inaczej teraz będzie wyglądał dwór wiedeński. Niebawem wystąpią na pierwszy plan nowe osoby; — ale o tem nie czas jeszcze mówić.

Al. Sz.

JAN ROWLAND STANLEY.

Stanley, śmiały podróżnik, torujący drogi cywilizacji wskroś pustyni Afryki i jej nieznanych ładów, zajmuje dziś uwagę publiczną więcej może przez interes, wiążący się z jego własną osobą, niż przez właściwe rezultaty podróży. Dzielność, śmiałość mężka, bohaterska pogarda życia dla celów nieosobistych korzyści, zawsze będzie mieć nad ludźmi moc podbijającą: zawsze będzie otaczać świetlanym nimbem uroku czoła tych, którzy ją przedstawiają, i odważny badacz Afryki, to zaginiony wśród niezmiernych jej przestrzeni, to ukazujący się nagle gdzieś daleko od miejsca, gdzie przypuszczono, że znalazł ostatni spoczynek grobu, zalicza się do postaci, przywiązujących dziś do siebie uwagę, można powiedzieć: całego świata. Jest on Anglikiem, należy przecież przez krew, płynącą w jego żyłach, do tego dzielnego plemienia celtogalijskiego, które walczy dotąd w Irlandyi o zachowanie swojej rodowej odrębności, a w Walii umie ją utrzymać, choć w sposób spokojniejszy, ale z równym uporem stojąc przy danych swoich.

Stanley jest to nazwisko przybrane; śmiały podróżnik nazywa się rzeczywiście Jan Rowland; urodzony w 1840 r. w Denbigh, wiosce czy małym miasteczku Księstwa Walii, syn wdowy tak ubogiej, że wychowywany był w miłośnym schronieniu dzieci osieroconych w Saint-Asaph, gdzie okazywał już wszystkie rysy charakteru, cechujące go następnie w życiu. Śmiały, niepodległy, niekarny nawet, był przytem wyniosły i obraźliwy, mało towarzyski, uparty w każdej rzeczy, którą przedsiębrał; lecz nauki cheiwy, górował wcześniej nad współczesnymi swymi, wzglę-

dem których stawiał się despotycznie i nie łączył się prawie nigdy z nimi w zabawach, wśród których byłby chciał zawsze rej wodzić.

Za to matkę kochał silnie, gorąco, ale też na pewien wyniosły sposób. Nie miał on nigdy tkliwej pieśczołliwości dzieci jedynaków, ale czasem wybuchał czulością namiętą, gwałtowną, której wstydził się potem, zawsze przecież okazywał się względem matki synem dobrym, choć prędko stał się nieposłusznym. Dzieci żeglarskiego narodu mogą łatwo uskrzydlać sobie wyobraźnię marzeniami o dalekich, nieznanych krajach, i tak się z nim stało. Trzynaście lat mający chłopak już zapragnął tych awantur, które otwierają drogi albo wielkich, a przynajmniej niezwykłych, istnień, albo prowadzą na barłóg nędzarzy. Nieznany, szeroki świat, krainy zamorskie ciągnęły go tak do siebie, że zadał matce boleść okrutną i rzucił ją, puszczając się w podróż cięższą może wtedy dla niego, niż potem przebywanie pustyni Afryki, i o suchym chlebie, piecho, dobił się do Liverpoolu, gdzie postanowił sobie dostać się na okręt, któryby go powiózł za morze.

Ale pierwszy ten krok w życiu był rozczarowaniem; nie chciano przyjąć go na żaden statek, jako chłopca okrętowego; może, że był szczupły i zbiedzony drogą, przecież ta siła woli, która czyni zeń teraz niestrudzonego podróżnika, wspomagała go już wtedy. Nie zawrócił w tył, biedny syn marnotrawny; został w Liverpoolu, puszczając się śmiało na chleb własny, który zdobywał sobie, pracując w pocie czoła przy wypakowywaniu statków, to jest dźwigając ciężary, przenosząc je ze statków do magazynów portowych; więc brnąć w wodzie po pas, lecz zarabiając przytem tyle, że jego marzenie wyprawy zamorskiej nie tylko nie pierzchnęło, jak mrzonka, śniona zbyt zuchwale, ale przeciwnie stało się przewodnią gwiazdą tego młodego życia.

Zebrać tyle, aby zapłacić za przewóz i potem swobodnie już rozwinąć skrzydła do lotu w dal, było teraz celem najbliższym i bezpośrednio, do którego dążył z siłą ducha niedzielną, bo jakże to było trzeba ścisnąć grosz, zarobiony w ten sposób przez chłopię młode, więc mające przeciw sobie nie tylko współzawodnictwo starszych, ale i lekceważenie przez pracodawców sił, jeszcze niepodatnych do dźwignięcia ciężarów znaczniejszych! Umiał on jednak nagradzać to ochotną zawsze do pracy wolą, zręcznością, może i inteligencją wyższą, bo po trzech latach takiego ciężkiego życia uzbierał sobie tyle, że nadzieja zaczęła się stawać pewnością, gdy zjawienie się w porcie parowca z przeznaczeniem do Nowego Orleanu kazało sercu jego uderzyć żywej.

To były strony, ku którym właśnie żeglował nieraz na łódce wyobraźni. Jeszcze kilka dni pracy, a summa potrzebna na kosztą podróży była już zdobytą! O to zaś: co będzie dalej? nie pytał. Czyż nie żył już od lat trzech, jak ptaki niebieskie, które znajdują sobie pożywienie z dnia na dzień? Uzupelnienie na czas summy potrzebnej było teraz jedyną troską chłopca, obecnie szesnastoletniego, który przecież miał już poza sobą trzy lata życia o własnej sile — o środkach własnej pracy i własnego przemysłu. Przyszła przecież teraz na niego jedna jeszcze nauka doświadczenia, a to, że chcieć nie znaczy zawsze móżdż, i wieczorem dnia tego, który był wigilią puszczania się na morze statku, dążącego w stronę jego pragnień, summa potrzebna na opłacenie przewozu okazała się niepełną!

Chłopiec w tym wieku miał prawo do żalu nad zawiedzioną nadzieją, do bolesnego upadku na duchu, ale był w nim już materyał na człowieka, stawiającego się inaczej losowi. Brakowało mu tylko kilku szylingów, ale taryfa przewozowa jest zawsze na statkach takich stałą, targować się nie można, a prosić o łaskę snadź nie chciał, ponieważ prędko ułożył sobie inny plan postępowania. Jak Dyogenes nosił wszystko co miał przy sobie, a żegnać nie miał nikogo: poszedł więc położyć się spać pod ścianą któregoś z magazynów nadbrzeżnych, między beczkami, ale nazajutrz był w porcie o najpierwszej godzinie, w której mógł się dostać do kapitana statku, przedstawiając się

jako kandydat na chłopca okrętowego. Ale załoga była w porządku, odpowiedziano mu też, że niema już wolnego miejsca i cały gmach nadziei, tak mozolnie budowany, miał na czas może długi runąć dla niego. Była w nim przecież dusza rogata; opowiedział kapitanowi swe położenie, żądając choć jakiejś przygodnej pracy, mogącej wynagrodzić niedopłaconą za przewóz sumę; kapitan zabrał go ze sobą na żądanych warunkach; przecież, wysiadłszy na ląd Ameryki, znalazł się może gorzej niż w lesie, bo wśród obcych ludzi i nieznanymi stosunków. Niemniej poradził sobie. Praca w porcie, ofiarowana po najniższej cenie, dała mu przeżyć ten najtrudniejszy czas pierwszy, potrzebny, aby się rozejrzeć i upatrzeć coś, czego mógłby się chwycić na początek; że zaś miał wzrok bystry, który pozwolił mu orientować się między obcymi, nie przepadł i po pewnym czasie znalazł sobie zajęcie.

Łaska losu, a raczej inteligencja i energiczna obrotność chłopca, rzuconego samotnie na drugą półkulę świata, sprawiły, że nie tylko nie utonął w różnorodnym tłumie, który stara Europa posyła Ameryce, ale przeciwnie wy dostał się na wierzch i wyżej, niż w stosunku do jego położenia przypuścić było można. Znalazłszy się w Nowym Orleanie na drodze bogatego przemysłowca Stanley'a i wzięty do jego kantoru, dał mu poznać takie strony charakteru i zdolności swoich, że przeniesiony następnie do jego przybocznego biura, został przybrany przez niego za syna, i byłby posiadał milionową fortunę, gdyby nie nagła śmierć tego dobrego opiekuna — śmierć bez testamentu, więc pozbawiająca go nagle używanego stanowiska i wypędzająca znowu na ciężkie życie torowania sobie drogi siłą własną.

Ale teraz już znał ludzi i był przez nich znanym; jak przecież sierota samotny radził sobie w tak młodym wieku? niewiadomo. Gdy w 1861 r. wybuchnęła domowa wojna Południa z Północą, on, teraz młodzieniec pełnoletni, bo mający lat dwadzieścia jeden, zaciąga się do armii Konfederatów, walczy pod rozkazami generała Johnstona, aż w 1862 r. w Kwietniu, zostaje wziętym do niewoli w walce pod Pittsburgiem, a że strona przeciwna, uważając konfederatów za buntowników, rozstrzeliwała jeńców, więc i on byłby śmierć poniósł, gdyby nie śmiałość i zręczność dokonana ucieczka. Ale tropiono zbiegów takich bardzo pilnie i życie, które wieść było trzeba pod ciągłą grozą śmierci, stało mu się wkrótce ciężarem. Były chwile, w których energiczny młodzieniec chciał sam wydać się w ręce wroga; ale nie łatwo jest rozstać się z życiem o jego poranku jasnym i Stanley, bo nosił już teraz stałe to nazwisko, dla zatarcia śladów za sobą, zaciągnął się jako prosty majtek do marynarki Federalnych, a śmiały, czynny, z umysłem i wykształceniem wyższym nad położenie swoje odznaczył się wkrótce między licznymi towarzyszami. W 1863 został sekretarzem kapitana dowodzącego okrętem *Tincondroga*, który w cztery miesiące potem przyjmuje na swój pokład admirała, a on, sprawujący też ów urząd przy tym dostojniku, podnosi się coraz wyżej w hierarchii społecznej, aż wśród bitwy, zaszłej wkrótce, zyskuje sobie stopień oficera marynarki i pozostaje już w służbie morskiej do 1865 r.

W tym-to roku *Tincondroga* zostaje wyprawioną na wody tureckie; odbywa służbę krzyżownika pod Konstantynopolem, a on prosi o urlop, który otrzymuje, i podróżuje po Azji Mniejszej. Lecz gdy wraca z tamąd, tęsknota do matki i ojczyzny budzi mu się w piersi i udaje się do wioski rodzinnej, a oczy matki zalewają się nagle łzami radości na widok niewidzianego przez lat tyle, jakgdyby cudownie wróconego jej syna.

Odeszło ją chłopię młode, słabe i ubogie, a teraz stanął przed nią wysoki, piękny młodzieniec, officer marynarki państwowej i już poniekąd głośny. Był to właśnie Czerwiec; podbierano pszczoły; radosna matka częstuje go miodem, którego słodycz go zachwyca — zachwyca go wszystko wokoło: ziemia, ludzie, powietrze; czy przecież osiadł tu nazawsze: nazawsze przykuje się do tych drógich mu miejsc rodzinnych, on, który już zakosztował rozkoszy ptaków wędrownych: przebywania przestrzeni, pojenia się powietrzem niezmiernych lasów i łąk, falują-

ych, jak morze falami nigdy niekoszonej trawy? Była w tem wszystkim siła przepotężnego magnesu, któremu oprzeć się nie mógł; ale nie rzucił starej matki nielitośnie, pozostaje z nią czas jakiś, wprowadza pod jej dach niski nieznan tam nigdy dostatek, którego trwałe używanie jej zapewnia, i dopiero, błogosławiony stokrotnie i unoszący ze sobą na piersiach ukryty promień włosów siwych, wraca do Stanów Zjednoczonych, gdzie już teraz zastaje pokój.

Jednostajne życie oficera marynarki w czasach pokojowych nie może zadowolnić go, więc podaje się do dymisji i oddaje się nowemu zawodowi, który ma być dlań pierwszym szczeblem do rozgłosu i sławy. Zanim zostanie wielkim podróżnikiem, staje się dziennikarzem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Faust, tragedia *Goethego*, przełożył *Ludwik Jenike*; wydanie I-e w *Ateneum* z r. 1887 i w osobnym odbiciu, wydanie drugie: Warszawa, nakład Teodora Paprockiego i Sp. 1889, druk Emila Skiwskiego (str. 244, 12-o). Porównanie nowego przekładu z dawniejszymi: Krajewskiego i Jezierskiego. **Wybór poezji lirycznych Szyllera** w przekładzie polskim przez *A. A. K.*, odbicie z *Biblioteki Warszawskiej*, Warszawa, w drukarni W. Ratyńskiego (dawniej J. Bergera), str. 53, 8-o.

(Dalszy ciąg).

W manifestie poety: „*Geh' hin und such' dir einen andern Knecht*“ nowy tłumacz jest dokładniejszym od swego poprzednika. Obaj „*unharmonisch*“ oddają przez „*mętnie*“, a p. Jenike powtarza znowu swoją składnię *co go* i „*Natur*“ tłumaczy przez „*bogi*“. Razi tu jeszcze jeden błąd językowy.—W dwuwierszu *Wer ruft das Einzelne zur allgemeinen Weihe etc?* przekład p. Krajewskiego jest i dokładnym i pięknym:

Kto jednostkę uswieca znamieniem wszechświata
I umie z niej akkorda dobyć czarujące?

podczas gdy u p. Jenikiego Goethe zapytuje niepoetycznie i niewiernie:

Kto szczegół każdy przyswaja naturze,
I we wspaniałą akkord go rozbrzmiewa?

Ale zaraz potem idą dobre wiersze:

Kto namiętności wzniecić umie burzę?
Kto zorzy lunę w czyste blaski zwiewa?
Kto piękne, strojne młodej wiosny kwiecie
Pod ukochanej swojej stopy miecie?
Kto niepozorną zielen, marne liście,
W zasługi wieniec spleta uroczyście?

P. Krajewskiego: „Kto bogów łączy i kto Olymp wspiera?“ lepsze jest od „Kto się na Olymp wdziiera, godząc bogi?“ ale jedności ostatniego wiersza: *Des Menschen Kraft im Dichten offenbart* ani jeden ani drugi tłumacz nie oddał. Zasluga p. Jenikiego jest ujęcie *mętnego* wyrażenia oryginału: „*im ernsten Sinne glühen*“ we wcale dobre a zrozumiałe: „w czyste blaski zwiewa.“

Zal za młodością nie udał się wcale. Filozoficznego „*Da ich noch ganz im Werden war*“ niewolno tłumaczył przez wyblakłe: „Kiedy wyrostkiem byłem w oczach świata,“ ani też: „*Des Hasses Kraft, die sacht der Liebe*“ przez „Miłości siłę, wasni niepokoję.“ Przekład z r. 1857—przyjmujemy datę druku, nie opracowania, które jest owocem trudów dawniejszych, a wieloletnich, pod posepnym niebem Północy—przekład ten ma dwa wiersze nader szczęśliwe:

Gdy świat był dla mnie mgłą jeszcze owiany
I każdy pączek cuda obiecywał.

Jest to Goethe słowo w słowo. W przekładzie z r. 1887/9 znajdujemy:

Gdy mgła mi kryła obszar ziemskich cieśni,
Pak każdy cudu wieścił mi zaranie.

Za to ostatni wiersz jest tu lepszy i zupełnie już dobry: „O wróć mi, wróć mi młode lata moje!“ Wiersza „*Den Drang nach Wahrheit und die Lust am Trug*“—żaden z tłumaczy naszych nie dosięgnął.

Prolog w niebie ma u p. Jenikiego wspaniałą osmiowiersz Archaniola Michała:

Wichry huczą na przemiany
Z ładu w morze, z morza w ład;
Pustoszące huragany
Łączą się w zniszczenia prąd;
Straszny płomień błyskawicy
Chmur przeszywa mroczny cień—
Ale Twoi posłannicy
Cichy (*sanft*) znów wskrzeszają dzień.

Dobrze wogóle odstania nam Faust przepaści swego ducha. „Pis się na dolę moję nie pomienia“—woła doktor wielu wielkich nauk. We zwrocie lirycznym muszę znowu dać pierwszeństwo p. Krajewskiemu:

I ty się pytasz czemu serce twoje
Zdawna odwykło od żywszego bicia?
I czemu dziwne jakieś niepokoję
Stłunają w tobie wszelki *popęd życia?*

P. Jenike tłumaczy „*Lebensregung*“ przez „*życia*“ znamię.“ Poprzednik opuszcza zupełnie wiersz: „*Da Gott die Menschen schuf hinein*“; ale zaraz potem otoczenie Fausta lepiej oddaje:

Tylko zgnilizna, tylko dym trujący,
Tylko zwierzęce i ludzkie szkielety.

Z wiersza *Dein Sinn ist zu, dein Herz ist tot!* wyrzuca zupełnie p. Jenike serce, ale je podejmuje p. Jezierski (str. 32) i wyraża przez „*czucie*“ w liczbie mnogiej.

Pięknie u p. Jenikiego duch woła na Fausta:

Gdzie jesteś, Faucie, ty, co dumnie
Jestestwem całym cisnąłeś się ku mnie?
(*Der sich an nich mit allen Kräften drang*)?
Tyżeś-to, który tchnieniem mem owiany,
Wiesz się teraz, słaby ziemi synu,
Jak marny robak w pyle rozdeptany?

Arcytrudny dwuwiersz „*So schaff' ich...*“ prawie dosłownie oddany przez:

I tak na warsztacie wiekowym wciąż tworzę
I żywe przedziwo na szaty tkam boże.

Faust ma dwa wybitne miejsca z Wagnerem: „Kto sam nie czuje...“ (str. 42) i: „Tak rozum wasz do gwiazd...“ (str. 44). „Niestety, czyni nasze i cierpienia“ nie oddaje myśli poety, który chciał wyrazić, że tak dobrze czyni energii, jak i fakta cierpienia, wobec których dusza ludzka grać musi rolę bierną,—tamuja nam pochód życia. W chórze Aniołów (str. 50), odbiegł tłumacz od oryginału. W tłumaczeniu p. Jezierskiego (str. 40 i 42) chóry są całkiem dowolne.

Śpiewka żołnierzy nie udała się żadnemu z poprzedników p. Jenikiego; on przetłumaczył ją lepiej, ale niezupełnie jeszcze dobrze. Goethego żołnierze rwą się zdobywać tak dobrze harde, wyniosłe kochanki, jak i wyniosłe mury; w przekładzie równoległość ta utonęła w kropkach domyślnika. Dalej już śpiew idzie gładko. W opowiadaniu Fausta o kordyałach dawanych na zarazę, p. Jezierskiemu powiodło się lepiej (str. 49)—rzadki zresztą wypadek:

Marli (chorzy) a kto wyzdrowiał? o tem ani słowa.
Tak, Wagnerze, my, my sami
Po tych dolinach, górach, puszczech boru
Piekielnymi kordyałami
Ślaliśmy pogrom sroższy od pomoru.

W klasycznym: „*O, glücklich wer noch hoffen kann*“ pojęcia poopuszczane i pozmieniane myśli (str. 63). Przekład p. Krajewskiego jest wyższym; wystarcza porównanie. U p. Jenikiego:

*Szczęśliwy, w kim nadzieja nie wygaśnie,
Że z tylu błędów prawda się wynurzy!*
To, czego nie wiesz, potrzebne ci właśnie.
A to, co wiesz, już może ci nie pluzę;

u p. Krajewskiego zaś:

Szczęśliwy ten, w kim nadzieja nie gaśnie
Wybrnąć z chaosu, który niema granic!
Czego nie wiemy, potrzebne nam właśnie,
A to, co wiemy, nie zda nam się na nic.

Każdy też przyzna wyższość dalszemu czterowierszowi p. Krajewskiego:

Patrz, o! wieczornej jak pała purpury
Ta zielonością okolona chata!
Dzień już przeżyty, słońce po błękiecie
Śpieszy gdzieindziej nowe budzić życie.

Ukazujące się dalej rozdarcie duszy Fausta wymaga w najnowszym przekładzie zupełnego przeobrażenia. Jak przeważnie w ustępach lirycznych, tak i tu lepszym jest przekład z r. 1857.

Gdybym uniesion bystreimi skrzydłami
Mógł lecieć za niem (słońcem) po nieba przestrzeni
I w wiecznym blasku wieczornych promieni
Widzieć świat cały pod memi stopami,—
Wzgórza zlocistem światłem zapalone,
Ciche doliny i rzek kręte biegi,
I oceanu wody niezmierzone,
I jego dzikie malownicze brzegi!
I niczem wtedy groźne gór gromady,
Ciemne przepaści i grzbiety spadziste:
Ja wciąż za słońcem, ja wciąż w jego ślady.
Wciąż piję jego światło wiekuiste!
Przedemną jasność, zamną nocy cienie,
Nademną niebo, a podemną fale...

Po niepotrzebnej, tak zwanej *amplifikacji* „o, boskie marzenie“ u p. Krajewskiego znowu czytamy:

I czemuż ciało tak szczytnie, zuchwale,
Wzbić się nie może, jak się dusza wzbija!
A przecież jest tam coś w naszej naturze,
Że nam się serce gdzieś w przestrzeń wyrwa.
Kiedy nad nami, znikając w lazurze,
Skowronek dźwięczną piosnkę swoją śpiewa,
Gdy widzimy orła wspaniałe krażenie
Nad wierzchołkami sosn wspaniałemi,
Gdy ponad równin i jezior przestrzenie
Ciagną żorawie do rodzinnej ziemi.

W najnowszym przekładzie żorawie ciagną *przez* jeziora i płazczyzny, a skowronek, literalnie, choć nie pięknie, wydzwania pieśń grzmiącą (*schmetternd*).

Sławny w *Faucie* początek Ewangelii Ś. Jana toczy się dobrze: „Na początku było słowo“ (str. 69); trzy ostatnie wiersze wolimy czytać w przekładzie dawniejszym:

Jeszcze się nowa wątpliwość zrodziła...
Ha, wreszcie duch mój znaczenia docieka—
Mam! Na początku był *czyn*.

Z psa wykluwa się nakoniec dyabeł. Oświadczenie się jego Faustowi „*Ich bin ein Theil von jener Kraft...*“ słabe. Tłumacz dodaje od siebie: „Bo chyba w świecie traf to rzadki“ a znakomite: „*Drum besser wär's dass nichts entstünde*“ wyraża przez obce Goethemu: „(Traf to rzadki), by co powstaje, i trwać było warte“ (str. 74). Dalej znowu Mefistofeles dodaje „ziemski pył“ rozumiejąc pod nim „światło“, które przecież nawet dla samego Lucypera pyłem być nie może. Nadzwyczajny ten obraz poetyczny światła czepiającego się ciała, czeka na nowe uśłowienia—a nie widzimy: dlaczegooby one nie miały wyjść ponownie od p. Jenikiego?

Na drugiej audyencji dyabła u Fausta stę-

skniony do szczęścia ziemskiego niewolnik wiedzy dobrze przeklina:

...wszystko, co mi wolę
W zdradliwe oplątało sieci,
Co na żaloby tym padole
Zwodniczych świateł iskry nieci!
Przeklinam pychę, co nas mami,
Przeklinam blichtr, co nam ogarnia zmysły,
Przeklinam duszę rozigraną snami,
Przed którą bańki sławy się rozprysły!
Przeklinam to, co nas tumani...

Dalej już słabiej. W całym majestacie rozumu twórczego wprowadzony zaraz po przekleństwie Chór Duchów mieści błąd rażący; dopuścił się go także i tłómacz z r. 1857. W „*Prächtiger baue sie wider*“ u p. Jenikego — „*sie*“ ma oznaczać „*pu*stkę“, u p. Krajewskiego „*ziemie*“. Obaj tłómacze nakazują odbudowywać rzecz zaimkową. „*Sie*“ tymczasem oznacza tu świat. Tak zrozumiał ten zaimek p. Jezierski, który wogóle bez artyzmu, ale dokładniej, pełniej odtworzył oryginał (str. 64/5). U p. Jenikego Duchy ubolewają nad „*pu*stką, kiedy tymczasem powinny ubolewać nad piękną t. j. nad zniszczonym światem własnego ducha Fausta.

Dobrze zapytuje Faust: „I cóż ty, biedny dyable, masz do dania?“, dwuwiersz: „Lecz wskaż mi owoc...“ jest dosłownym. Ale dalej: „*Dann will ich gerne zu Grunde gehen*“ mdło brzmi: „Niech zatracenia pójdę drogą.“ Pięknie potem przysięga Faust ponemiecku, ale bardzo słabo popolsku:

Nie zamknę odtąd piersi dla cierpienia.
To, co ludzkości bywa tu udziałem,
Ja zawrzać pragnę w mem jestestwie całym...

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii.

(Dokończenie).

Karnawał londyński przypada na wiosnę i rozpoczyna się wraz z otwarciem parlamentu, gdy posłowie i ich rodziny zjeżdżają się do miasta, zatem zima upływa w stolicy Anglii bardzo cicho i stali mieszkańcy Londynu zadawalniali się podczas jej trwania rozrywkami, które gdzieindziej, na przykład w Paryżu, lub u nas, przeznaczone są na czas przedwielkanocny, na post. Teatra, muzyka, wystawy rozmaite—oto, obok spokojnych zebrań w rodzinach, zimowe zabawy tutejsze, do których doliczyć jeszcze trzeba odczyty w rozmaitych przedmiotach wiedzy. Parlamentaryzm i jego mityngi wyrobiły w Anglii wymowę, a więcej jeszcze pohopność do niej, i mnóstwo osób wstępuje tu na mównicę; lecz trzeba przyznać, że nie próżne retorstwo, lub gadatliwość stronnictw, jak we Francji, popycha do tego. Propaganda idei i podnoszenie moralnych swych ideałów—to bodziec dla mnóstwa ludzi do odzywiania się publicznego. Sekty religijne uważają żywe słowo za najskuteczniejszy środek oddziaływania i mówcy, zapaleni gorącością swych przekonań, każą, gdzie tylko znajdzie się miejsce postępu: na placach publicznych, wśród zebrań targowych, a zawsze zgromadzi się wkoło nich kupa ludzi dobrej woli w poszukiwaniu prawdy, którzy słuchają ich uważnie i poważnie wtedy nawet, gdy nie podzielają przekonań wygłaszanych.

Dlatego właśnie słuchają do końca argumentów, któremi mówca chce trafić do ich serc i umysłów. Mogą potem ruszyć ramionami, rozchodząc się po rzeczy skończeniu, ale nie tamują głosu, bo uważają to za targnięcie się na prawa człowieka, które tu są przez ogół szanowane wysoko w każdej jednostce ludzkiej, i jest też w Anglii takich moralizujących, nauczających apostołów, przenoszących się z miejsca na miejsce mnóstwo.

To przecież, co podobnie jak u nas, jest literackimi lub naukowymi pogadankami z katedry—prelekcyje pojedyncze, lub serye ich jakieś, miewane przez literatów, podróżników, ludzi nauki wyższej, urządzają tutaj podobnie, jak u nas i podobnie, jak u nas słuchacze uczęszczają na nie najliczniej, gdy przedmiot jest z dziedziny literatury, sztuki, estetyki. Obecnie miewa je tutaj z powodzeniem największym Karol Eastlake, dyrektor *Narodowej Galeryi*, mówiący o malarstwie weneckim i mistrzach, którzy wytworzyli w niem szkołę. Tycyan zajmuje tu, naturalnie, miejsce pierwsze. Angolicy bardzo licznie odwiedzają Włochy; wilgotny, niezdrowy, posępny w czasie chłódów zimy klimat tu tejszy wypędza mnóstwo bogatszych pod cieplejsze, jaśniejsze niebo: ztąd odczyty w tym przedmiocie są bardzo licznie słuchane w tych klassach właśnie, jako przygotowanie estetyczne do podróży lub odświeżone jej reminiscencye u pań starszych, bo tutaj, jak pono wszędzie, większą część słuchaczy takich prelekcyi składają kobiety.

Jeżeli przecież znaczna ich liczba szuka w tem głównie rozrywki dla mało zajętego czasu—bywa dla szuku, dla zmiany wrażeń, to trzeba przyznać, że jest w Londynie, jest ogólnie w Anglii, bardzo wiele kobiet i towarzystw kobiecych, które z odczytów popularnych czynią sobie rzeczywiste akademie, oświecające umysły i wskazujące drogi postępowania, tak w kierunku kształcenia się własnego, jak i kształcenia innych, wychowywania.

Współcześnie ze wspomnianymi odczytami Karola Eastlake, na które uczęszcza przeważnie towarzystwo wyższe, świat wyłożony i elegancki, odbywają się tu seryami i inne, urządzone przez szlachetne, o dobro ogółu sławo pocziwie zabiegające stowarzyszenie: „*London Ethical society*“, miewane w dzielnicy miasta mniej wytwornej i licznie, zaludnionej przez mieszczaństwo klasy średniej, na Strandzie. Przedmiotem tu traktowanym jest zadanie społeczne, doniosłego znaczenia: moralne kształcenie młodzieży (*The moral education of the Youth*). Wstępny odczyt, a maich być w zakresie wymienionego przedmiotu cztery, miał uczony pedagog dr. Ward; mówił o pierwszym wpływie domu i otoczenia rodzinnego na formowanie się moralnych pojęć człowieka przez siłę wrażeń, dających najwcześniejsze nagięcie uczuciom i kierunek myśleniu. Przypisał im siłę bardzo wielką, bo wytworzenie nawyków moralnych, które, jak nawyknięcia wszelkie, są trudne do wykorzenienia, wtedy nawet, gdy walczymy z nimi przez rozum, przez uczucie winy lub nie-szczęścia.

Drugim z kolei prelegentem była kobieta, miss Hugues, a traktowała kwestyą też niemałego znaczenia, stanowiącą, jakoby ciąg dalszy poprzedniej: moralny wpływ szkoły. Życie szkolne jest dla młodzieży czemś pośrednim między rodziną a społeczeństwem; powinno też łączyć w sobie coś z natury obu tych stron istnienia naszego. W klassach szkoły niższych powinno zbliżać się więcej do stosunków rodzinnych, w klassach wyższych wprowadzać niejako młodzieńca na drogę, którą ma kiedyś postępować wśród społeczeństwa. Moc charakteru i samodzielne, na samym sobie opierające się (*self-reliant*) trwanie przy zasadzie moralnej: przy prawdzie i cnocie, zapewnić mu to może jedynie, do czego przecież usposobi go lepiej metoda wydobywania z piersi młodej uczuź szlachetnych, niżeli karanie błędów.

Znikną one same przez się, gdy tamte panować będą, a opór naturalny, szczególnie u duchów silniejszych, gdy systemat karno-poprawczy chce je zgnać siłą, nietylko rzecz zaognia, ale każe się marnować najszlachetniejszym władzom dziecka i przymioty na wady zamienia. Prelegentka potępiła udzielanie nagród. Dobro wszelkie jest samo sobie nagrodą i nagrody szkolne wyrabiają współubieganie się tego rodzaju, w którym pycha i chęć pierwszeństwa góruje nad względem rzeczy moralnym, zwłaszcza u dzieci dumnych, z zarodami pychy, z pragnieniem wyniesienia się po nad innych. Lepiej jest dla wywołania emulacji podzielić klasę każdą na dwa oddziały, z których ten będzie uznanym za wyższy, gdzie

będzie więcej uczniów dobrych. Wtedy miłość własna utopioną zostanie niejako w ciele zbiorowym, przedstawiającem coś podobnego, jak społeczeństwo, kraj, i wtedy ambicya nie będzie stawać się egoizmem, ale uczuciem wcielonem w związek ze szlachetną ideą przewodnią.

Prelegentka żądała w końcu wspólnej szkoły dla chłopców i dziewcząt na zasadzie, że wyrabia to lepiej płcie obie do życia, które ma być wspólnie dzielone. Przecież prasa prawie ogólnie wystąpiła przeciw temu na zasadzie, że tak natura umysłów męzkich i kobiecych, jak natura powołań czekających w przyszłości kobietę i mężczyznę, jest o tyle różną, że należy i wychowaniu utrzymać tu różnicę konieczną, jeżeli niema nastąpić pomieszanie pojęć i wykołajenie wielkiej liczby jednostek, niedoświadczenie, a nawet wadliwie, przygotowanych do życia.

Na mityngu *Stowarzyszenia Geograficznego*, zebrań w Manchester, czytano list Papieża do biskupa Selford'u w sprawie handlu niewolnikami i uradono na miejscu odpowiedź dziękczynną za życzenia wyrażone dla tej sprawy przez Ojca Świętego, oraz błogosławieństwo przesłane przezeń *Stowarzyszeniu*, złożonemu przecież z innowierców — wyznawców kościoła anglikańskiego. Leon XIII błogosławił tu przedewszystkiem czynny chrześcijańskiej miłości bliźniego. Stowarzyszenie, wdzięczne mu za to, wyraziło uczucie swoje w adresie, napisanym z uległością i uszanowaniem synowskim.

W końcu Stycznia (26) przypadła czwarta rocznica śmierci Gordona w Chartumie i posąg jego, wznoszący się w Londynie na Trafalgar-square, został obwieszony wieńcami, zalegającymi nawet podnóże. Anglia umie „czcić świętości swoje“: wieńce pochodziły też od osób, postawionych wysoko w hierarchii społecznej, a wiele z pośród nich świadczyło o pamięci kobiet, składających w osobie Gordona hołd męznemu poświęceniu dla sprawy szlachetnej. Był też, między innymi, i wieńiec poety, Tennysona, a na kilka dni przed pamiątkową uroczystością synowiec nieboszczyka, kapitan Gordon, otrzymał z Suakimu, od derwisza tamtejszego, list z zawiadomieniem, że w Chartumie, na miejscu zburzonego pałacu, który zamieszkiwał oiały basza, na gruncie, krwią jego napojonym, został wzniesiony grobowiec, godny pamięci tego, którego zwłoki pokrywa. A nie było to ze strony wyznawcy Islamu próżną przechwałką, gdyż list dodawał, że biały basza został uznany przez całą krainę za świętego, a mogiła kryjąca w sobie jego szczątki stała się miejscem czci pobożnej, „dla jego wielkiej sławy, rycerskiego meztwa i dobrych uczynków.“

Piszący to Afrykanin czarny, którego w Europie nazywają barbarzyńcą, zakończył pismo swoje oświadczeniem, że jeżeliby kapitan Gordon chciał odwiedzić grób świętego, niech da o tem znać, a Mahdi przysła mu natychmiast gleit swobodnego przebywania, tak w krajach, władzy jego podległych, jak i sprzymierzeńców jego. Sądząc z tego listu pełnego godności i poczciwości dorotliwej—z uczuź szlachetnych, które go dyktowały, czy nie można przypuścić, zali to biedne plemię czarne, które mordujący je, pastwiący się nad niem człowiek biały nazywa potomstwem Kaina, niema przed sobą przyszłości, niespodziewanej przez nas? Wszakżeż Europę zatłudniał niegdyś człowiek, który kryjąc się przed straszcem go zwierzem dzikiem, zamieszkiwał chaty nawodne, osady wznoszące się na palach wbijanych w bagnisty grunt jezior?

Pani, znana tu z dzieł dobroczynnych, a w literaturze ze studyów nad Byronem, pisanych bardzo szlachetnie i niepowierzchnie, Mrs Crawshay, proponuje Narodowi Angielskiemu rozpisanie, jakoby plebiscytu, czy szczątki Byrona, którym dla chwały Anglii źle jest w hałaśliwej obecności i nieprzeznaczonej na przechowywanie szczątków wielkiego poety miejscowości, Hucknall-Torquard, nie powinnyby być ruszone przez naród i przeniesione do opactwa Westminsteru, gdzie go czekają duchy innych wielkich ludzi Anglii? — „Pokolenia, które żyły w czasie tego upokorzenia jego szczątków, będą ukarane za to w dzielnym sądzie przyszłości“ dodaje ona w odezwie swojej, ale sądząc z tego, że skoro w cza ie wiel-

kiego jubileuszu, poświęconego przez całą Europę czci tego syna Anglii, ona jedna pozostała milcząca i nieporuszona, można przypuścić, że nie odpowie i dziś wezwaniu, którego usłyszeć nie zechce. Ta surowa zaciętość, nieprzebacząca po latach tyłu, ma przecież za sobą pewną wzniosłość, z której wybijają się wyniosłe najwyżej za cześć, jaką kiedykolwiek złożył kto gieniuszowi poezji.—Noblesse oblige!... Poeta musi być czystym, musi być dostojnym pod karą, aby go nie uważano za kłamiącego samemu sobie, za zmiłającego się z przeznaczeniem swoim. Anglia jest niewątpliwie ojczyzną wielkich natchnień poetycznych i ma cały szereg synów z wieńcami lauru na czole; otóż, czy ta jej dumna wyniosłość w pojęciu poezji, nie przyczynia się czasem do tego, że poezja rodzi się z jej łona?

Mrs Crawshay rozpisuje corocznie konkurs na studia nad poezjami Byrona, Shelley'a i Keats'a. Konkurs jubileuszowy na studia nad Byronem, miał wysokie premium 2.500 funt. sterlingów.

Królowa Wiktoria wybiera się do Biarritz, gdzie regentka hiszpańska ma do niej wyprawić posła zapraszającego do Madrytu. Tu w Londynie sądzą, że królowa Wiktoria nie będzie mogła, ze względów etykiety dworskiej, oddać o tyle lat młodziej od siebie monarchini wizyty pierwszej i spotkanie nastąpi najpewniej w San Sebastian, gdzie Marya Krystyna przyjedzie pozdrowić na granicy państwa swego dostojnego gościa. Te dwie kobiety, mimo różnicy wieku, są wielce do siebie podobne przez poważny i szlachetny sposób myślenia, przez charakter silny i dostojne pojęcie swego położenia—przez to uczucie szczególnie, że kobieta, nawet na tronie, nie może się wyzuwać bezkarnie z niewieściej cnoty, z godności niewieściej, z obyczajności, który tego strzeże. Szkodaby też było, gdyby to spotkanie się z sędziwą monarchinią Anglii ominęło Maryą Krystynę, bo usłyszałyby może niejedną, jakgdyby macierzyńską, radę i przestrożę z tych ust wiarogodnych, a mogących mówić do niej szczerze i otwarcie.

Rozchodzi się tu pogłoska, że cesarzowa Fryderykowa pragnie wstąpić do zgromadzenia anglikańskich sióstr miłosierdzia, i może to jest dobry port cichy, gdzieby znalazła odpoczynek po burzach i boleściach życia ciężko doświadczonego. Miłość Anglików dla niej jest wielka—wielkim żal ich nad nią; przecież mówią tu o tem spokojnie dodając, że w ten sposób uciszałyby może najlepiej tęsknotę serca, oddając się dziełom chrześcijańskiego miłosierdzia.

August.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Staraniem redakcyi Zorzy** weszło w życie wydawnictwo obrazów i obrazków religijnych: sztychów, oleodruków, a to dla wyparcia produkcji niemieckiej, którą kramarze roznoszą po wsiach i miasteczkach z wielkim odbytem pomiędzy ich mieszkańcami. Na początek wydano głowę Chrystusa, wielkości jednej karty *Tygodnika Ilustrowanego*.

— **Obraz** Wacława Szymanowskiego: „Kłótnia Huculów“ został przeznaczony przez galicyjskie Towarzystwo Sztuk Pięknych na tegoroczne premium dla członków.

— **Składkowy dar dla Matejki** w postaci dóbr ziemskich postanowionym został w zamożnych kołach towarzystwa krakowskiego.

— **Krakowska Wystawa Sztuk Pięknych** będzie otwierana i wieczorami, co stanie się możliwem przez oświetlenie gazowe złożone z 30 lamp, każda o sile światła 150 świec.

— **Biblioteka Jagiellońska** przyjęła przez bibliotekarza swego, Karola Estreichera, legat Kraszewskiego, oddający bibliotece całą korespondencją tego pisarza.

— **Koło literackie iwowskie** postanowiło uczcić pracowite zasługi Karola Estreichera przez wybicie na cześć jego medalu pamiątkowego.

— **Na Górnym Szlaku** zaczęło wychodzić od 1 Kwietnia nowe pismo: „Nowiny Raciborskie.“

— **W Cieszynie** towarzystwo *Domu Narodowego* rozwija się pomyślnie. Według sprawozdania za rok ostatni liczba członków wzrosła ze stu do dwustu dwudziestu czterech. Majątek stowarzyszenia wynosi 6.044 zł. reńskich. Wyszła tu, skreślona przez Alexandra Boneckiego, książka dla ludu pod tytułem „Józef Ignacy Kraszewski jego życie i zasługi.“ Rzeczą ma być wyborna, ozdobiona pięknym portretem Kraszewskiego.

— **Wiedeńska Wystawa Przemysłu Galicyjskiego** ma dać miejsce i wystawcom warszawskim, pragnącym pozyskać sobie rynek zbytu w Wiedniu.

— **Biografia Szopena** przez Fryderyka Nieck wyjdzie wkrótce w Londynie. Książka ma obejmować dwa grube tomy i mieścić wiele rzeczy nieznanych. Autor pracował nad nią lat dziesięć.

— **Mistrz na Skrzypcach**, Joachim, będzie święcił w roku bieżącym pięćdziesięciolecie artystycznej swej działalności. Wielbiciele talentu pragną

mu ofiarować marmurowe jego popiersie, które wykończy rzeźbiarz prof. Donndorf w Stuttgardzie.

— **Koniec świata**, dramat Pawła Heise, przedstawiony w Weimarze na scenie teatru dworskiego, obudził wyższe zajęcie publiczności. Poeta został wywołany wśród gorących oklasków.

— **Podwodny świat**, tak został zdobyty dla człowieka, jak przestwory powietrzne. W Kadyxie czynione były próby ze statkiem podwodnym, poruszonym przez elektryczność, i wypadły bardzo pomyślnie. Twórcą statku jest porucznik marynarki hiszpańskiej, Pérel; utrzymuje on, że statek może się trzymać pod wodą na 30 metrów głęboko i przebywać w ten sposób 326 mil morskich.

— **Przekopanie góry Simplon** wspólnymi siłami rządu włoskiego i szwajcarskiego kosztować będzie dziewięćdziesiąt milionów franków. Trzydzieści milionów dadzą wspólnie oba państwa, resztę, to jest sześćdziesiąt milionów, da wspólka przedsiębiorcza włosko-szwajcarska. Tunel, rozpoczęty w Szwajcaryi, wychodzić będzie na terytorium włoskie, łącząc się ze stacją kolei żelaznej Domod'ossola, odległą od wylotu tunelu o 22 kilometry.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

Tanie wydanie.

Prenumerata bez żadnej przedpłaty.

Wyszedł z druku zeszyt pierwszy dzieła p. t.

PISMO ŚWIĘTE

starego i nowego testamentu

Przekład X. Jakóba Wójka

z objaśnieniami podług J. Fr. Allioli.

WYDANIE ZAAPROBOWANE PRZEZ KONSYSTORZ ARCHIDYECZEZYI WARSZAWSKIEJ

ozdobione 230 ilustracyami

GUSTAWA DORÉ

najsławniejszego francuzkiego ilustratora

Zeszyty wychodzić będą w 10—12 dni. Zeszytów będzie 60.

Cena Zeszytu kop. 25;—z przesyłką pocztą kop. 32.

Z prowincyi uprasza się o nadsyłanie przynajmniej na 5 zeszytów odrazu;—gdyż w tej ilości zeszyty pocztą będą wysyłane.

Nadsyłający z prowincyi od razu prenumeratę na całość płaci tylko 17 zamiast rs. 19 kop. 20.

MICHAŁ GLÜCKSBURG, księgarz-wydawca w Warszawie, ulica Królewska Nr. 5.

TREŚĆ. Pogawędka. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Z Wiednia, przez Al. Sz. — Jan Rowland Stanley. — Przegląd Piśmienniczy, przez St. Krzemińskiego. — List z Anglii, przez Augusta. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: *Stargane życie*, przez Florentynę Marryat. — 26 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 23 Февраля 1889 года.